

## Wybory prezydenckie w supermocarstwie z narodem rozdartym<sup>1</sup>

Proszę mi pozwolić zacząć od ostrzeżenia, iż nie jest to tekst poświęcony analizie szans wyborczych kandydatów na prezydenta USA w latach 2025 – 2029, ani też analizie programów Donalda Trumpa i najpewniej Kamali Harris, na zatwierdzenie której to kandydatury przez Partię Demokratyczną jeszcze czekamy. Jest to raczej krótkie opisanie kondycji społecznej Ameryki w przededniu wyborów prezydenckich.

Dobiega końca lipiec roku 2024. Dwadzieścia pięć lat temu Patryk Buchanan, znany także w Polsce – jakkolwiek, by wyrazić się delikatnie, naszej ojczyźnie niezbyt przyjazny – wybitny amerykański komentator konserwatywny, doradca prezydentów, który sam miał ambicje prezydenckie, wydał książkę pt. „Republika, a nie imperium: Ku restytucji przeznaczenia Ameryki” (*A Republic, Not an Empire: Reclaiming America's Destiny*, 1999). Miał nadzieję na powstrzymanie pogłębiającego się kryzysu społecznego i instytucjonalnego w USA, oraz porzucenie przez nie polityki imperialnej, czyli ich starania o zachowanie *Pax Americana* na całym świecie. W roku 2011 pytał już tylko, czy Ameryka dotrwa do roku 2025 – w książce pt. „Samobójstwo supermocarstwa: Czy Ameryka dotrwa do roku 2025?” (*Suicide of a Superpower: Will America Survive to 2025?*).

W swojej książce sprzed lat trzynastu Buchanan nie wieszczył rychłej utraty przez USA dominującej pozycji gospodarczej czy nawet najmniejszego zagrożenia dla militarnej przewagi Ameryki nad resztą świata. Chodziło mu o upadek moralny i kulturalny, bezwzględne odrzucenie chrześcijańskich fundamentów ładu społecznego, koniec narodowej spójności i wyparcie się własnej historii, a w konsekwencji koniec krótkiego trwania narodu amerykańskiego. Tak to podsumowywałem dwa lata temu na stronach portalu „Wszystko co Najważniejsze”:

*W ciągu kilku minionych dekad społeczeństwo amerykańskie uległo rozpadowi na jakby dwa kraje – pierwszy, obejmujący dorzecze Missisipi z Teksasem i częścią Południa na wschód od Teksasu, oraz drugi, obejmujący pozostałe stany USA. Pierwszy, zamieszkany w większości przez nieuleczalny ciemnogród (irredeemable deplorables według Hillary Clinton), i drugi, którego znacząca część – merytokracja wykształcona na najlepszych uczelniach i jej okolici – nie odwołuje się już do własnej tradycji narodowej oraz straciła zdolność promieniowania dobrymi wzorcami na resztę społeczeństwa. Innymi słowy, merytokracja straciła walor bycia elitą kulturalną przewodzącą narodowi.*

Rozkładowi spójności narodowej oraz dysfunkcjonalności państwa na własnym terenie poświęcono w ostatnich dwóch dekadach wiele poważnych opracowań. Reprezentując różne

---

<sup>1</sup> Artykuł ukazał się w dwumiesięczniku ARCANA nr 178 (2024/4).

szkoły myślenia pisali i piszą o tym kryzysie, który dziś osiągnął rozmiary zatrważające, Charles Murray, Robert Putnam, Patrick Deneen, Jay Cost, Yuval Levin, George Friedman, Rod Dreher i inni. Nieco wcześniej konserwatyści amerykańscy zaczęli mocno opowiadać się za nową myślą państwową dla USA. Opowiedzieli się za powstaniem nowej, prawdziwej federacji, a może wielu federacji i także państw niesfederowanych, i wszystko to w miejsce obecnego imperium. W roku 1993 pisał o tym w swojej autobiografii wielki amerykański dyplomata, główny architekt zimnej wojny, w tym czasie już sędziwy George Kennan. Już wtedy wszyscy autorzy podzielający ten pogląd wskazywali na immanentny kryzys społeczny i ekonomiczny USA wskutek osiągnięcia przez państwo centralizacji na skalę nie do utrzymania i wprost nieludzką. Sukcesy ekonomiczne małych krajów traktowali jako przykłady napawające optymizmem oraz dowodzili, że podział USA może się odbyć zgodnie z amerykańskim prawem, a nie tylko leży w dobrze pojętym interesie społeczeństwa.

Głos owych konserwatystów oraz George'a Kennana nie został wysłuchany. Przeciwnie, u steru władzy politycznej stanęli neokonserwatyści, przekonani, że w świecie jednobiegunowym bez Związku Sowieckiego i z ciągle słabymi Chinami, to Stany Zjednoczone – jedyne w tym czasie supermocarstwo – mogą narzucić światu nowy ład geopolityczny z Ameryką w roli jego łagodnego hegemonu.

W drugiej połowie XX wieku zaczęła się w Ameryce swego rodzaju deindustrializacja, która przede wszystkim dotknęła zakłady przemysłu stalowego i węglowego, ale także innych zakładów produkcyjnych. Nieomal zrujnowała gospodarkę środkowego zachodu i Nowej Anglii. W latach 1980-tych przyspieszenia zaczęła nabierać praktyka tzw. outsourcingu. Wielkie korporacje przenosiły coraz więcej prac za ocean, do Azji. Amerykanie – od warstwy pracowników fizycznych po część obywateli ze średniej klasy tracili pracę w swoich zawodach. Duża część klasy średniej i warstwy niższe zostały skazane na stagnację albo raczej względne zubożenie – razem z traconymi stanowiskami pracy zniknęły też płace z nimi związane. Wielki biznes wyrzucił duży segment amerykańskiego społeczeństwa poza obszar zdrowego rozwoju przemysłowego, od przemysłu stalowego po elektroniczny i informatyczny.

W czasie, gdy Donald Trump po raz pierwszy ubiegał się o prezydenturę, a więc osiem lat temu, dramatycznie już zła była sytuacja społeczna dużego segmentu białych robotników. W tej warstwie białych obywateli, w grupie osób w wieku od 30 do 49 lat, 84% osób żyło w związku małżeńskim w roku 1960, ale tylko 48% w roku 2010 (prawie wszystkie tu podawane liczby czerpię z prac Charlesa Murraya). Procent rozwodów wzrósł w tej grupie z 4% w roku 1960 do 33% w roku 2010. Aż 22% dzieci były wychowywane przez osoby rozwiedzione, żyjące w separacji lub przez matki, które nigdy nie miały męża. Wśród białych matek, które nie ukończyły szkoły średniej, procent dzieci nieślubnych sięgnął 60%. W roku 2010 procent dzieci żyjących w pełnej biologicznej rodzinie, gdy matka osiągnęła 40. rok życia, spadł do 35 (w wyższej klasie średniej było to 85%). W warstwie białych robotników aż 60% tej populacji albo nie wyznawało w 2010 żadnej religii, albo nie pojawiała się w kościele częściej niż raz w roku (dla całej amerykańskiej populacji procent ten wynosił 41%).

Jeśli za nową klasę niższą uznać za Charlesem Murrayem tę część mężczyzn z populacji robotników, która nie potrafi lub nie chce zarobić na utrzymanie dwuosobowego gospodarstwa domowego powyżej progu ubóstwa, to okaże się, że takich białych mężczyzn w wieku od 30 do 49 lat było w populacji robotniczej 8% w roku 1967 i odtąd procent ten stale rósł, by w roku 2007 osiągnąć 27%.

Kilkadziesiąt lat temu biali Amerykanie nie zarabiający na utrzymanie dwuosobowej rodziny nie stanowili klasy, która mogłaby wyznaczać obyczaje i sposób życia warstwy pracowników fizycznych. Żyli na marginesie, bez własnej winy, albo skutkiem własnego wyboru. W ciągu kilku ostatnich dekad stworzyli nową klasę niższą współwyznaczającą cywilizacyjny wzorzec dla niemałego segmentu społeczeństwa amerykańskiego.

Zupełnie inaczej wyglądała w tamtym czasie obyczajowość wyższej klasy średniej, w tym jej elity, czyli – używając klasyfikacji Charlesa Murraya – merytokracji. Jako całość, zachowywała ona tradycyjny kod moralny. Na przykład, gdy chodzi o małżeństwa, wśród osób w wieku 30 do 49 lat 94% osób żyło w związku małżeńskim w roku 1960 i 90% w roku 2010. Rozwodów prawie nie było w roku 1960, kiedy to ich liczba zaczęła rosnać, by zbliżyć się do 5% w latach 80-tych i na tym poziomie zatrzymać. Dzieci uczyły się w dobrych szkołach, zaś ich rodzice często aktywnie współpracowali ze szkołą. Tylko w 3% gospodarstw domowych dzieci były wychowywane przez osoby rozwiedzione lub takie, które nigdy nie były w związku małżeńskim.

Jeszcze sześć lat temu tak mogłem pisać na łamach „Kuriera WNET”:

*Niestety dobre prowadzenie się nawet poważnej części narodu to za mało. Każdy naród potrzebuje elity, która potrafi promieniować wzorcami przez nią uosabianymi na cały naród i tym sposobem sprawować misję przewodzenia mu na polu kultury. Bez takiej elity naród ulega degeneracji. I oto amerykańska węższa nowa klasa wyższa, która powinna stanowić taką elitę, jest doskonale odcięta od reszty Ameryki. Żyje w gettach ze swoimi szkołami, kościołami, klubami, tylko tam tworząc żywe, ale zamknięte dla innych wspólnoty. Zachowuje się schizofrenicznie – zamiast sprzeciwić się wulgaryzacji języka, obyczajów i sztuki, im sprzyja. Mówi językiem współczesnego liberalizmu i na zewnątrz popiera moralny nihilizm. Jest nieznośnie politycznie poprawna, ulega lewicowemu terrorowi i popiera najbardziej absurdalne idee współczesnych lewaków.*

Terror lewacki najlepiej miał się i ma na uniwersytecie. Właściwie jego początki można datować już na pierwsze dekady wieku XX, ale nie tu miejsce, by wątek ten rozwijać. Jasne wszakże jest, że promowany przez uniwersytet upadek ładu kulturalnego i moralnego – obecnie jakieś genderyzmy, pochwała „różnorodności” i „inkluzywności”, stąd pochwała chorej sub-czy-raczej-anty-kultury LGBT, wokeizm – musiał w końcu dotknąć widoczną część klasy średniej oraz młode pokolenie wyższej klasy średniej. Spada zatem liczba małżeństw, zanika religijność. Rośnie tolerancja dla – jeśli nie swego rodzaju pochwała – tego

co jest zwyczajnie i po ludzku nienaturalne, i przeto niemoralne. Rośnie tolerancja wobec zabijania nienarodzonych dzieci.

Nie ma tu również miejsca na opisanie dysfunkcyjności agend państwowych oraz drogi, którą państwo zmierzało do swej obecnej godnej pożałowania kondycji. Niech tu zatem wystarczy nadmienić, że badacze amerykańscy nie wahają się stwierdzać, iż państwo przestało być sterowne. Wiele rządowych agend odpowiada za to samo, jedna nie wie, co czyni druga, żadna nie ma widzi całości, która zwykle daleko wykracza poza ten jej wąski fragment, za który dana agenda odpowiada. Na samej górze tych agend jest prezydent i jest Kongres. I tu także nie jest dobrze. Prezydent z łatwością przejmuje część kompetencji Kongresu, którego rola coraz bardziej ogranicza się do międzypartyjnych sporów, o podłożu raczej ideologicznym niż merytorycznym, nie mających nic wspólnego ze wspólnym wypracowywaniem ustaw służących dobru całego społeczeństwa. Prezydent nominalnie odpowiada za politykę międzynarodową, ale faktycznie rządzi administracja słuchająca głosu własnego oraz podmiotów, z którymi jest powiązana nieformalnie, zaś same te podmioty działają „z ukrycia” – stąd mówi się w USA o „państwie ukrytym” (ang. *deep state*). Coraz bardziej żalosny poziom kampanii wyborczych – czy to kampanii kandydatów na prezydenta z ramienia danej partii, czy to wyborów prezydenckich – to tylko wierzchołek góry lodowej o rozmiarach zaiste zatrważających.

Wracając do pytania Patricka Buchanana i najkrócej rzecz podsumowując, republika amerykańska nie dotrwała do roku 2025. Siłą bezwładu i bez względu na to, kto stanie do wyborów prezydenckich w listopadzie roku 2024 oraz kto te wybory wygra, USA przetrwają swój własny kryzys jako supermocarstwo, choć skończy się *Pax Americana*. Nadchodzi koniec ery globalizacji oraz zaczęło się przechodzenie w erę nową, czyli erę gospodarek regionalnych z USA jako mocarstwem najsilniejszym, zapewne również gospodarczo, a na pewno militarnie. Świat nie chce już *Pax Americana*, w dużej mierze z winy samej Ameryki i pomimo tego, że owa hegemonia amerykańska niosła wzrost dobrobytu oraz pokój w wielu częściach globu.

To, kto zostanie prezydentem USA od roku 2025, ma znaczenie ogromne. Od tego wyboru zależeć będzie, ile krwi się poleje – i gdzie – na drodze do nowego ładu geopolitycznego. Zależeć również będzie od niego, jakie miejsce wybierze sobie Ameryka na mapie gospodarczej świata. Ale te wątki pozostawmy na boku. Zapytajmy zaś o wpływ przyszłej prezydentury na niewątpliwy i tragiczny rozpad wewnętrzny USA na dwa kraje.

Dziś nie może już być mowy o jakiejś odnowie federalizmu, czy rozbiciu USA na więcej niż jedno państwo, sugerowanym przez George’a Kennana,. Opisane tu dwa kraje – czy może lepiej, dwa społeczeństwa – nie są jeszcze w stanie wojny, ale też nie tylko są sobie doskonale obce, lecz są wobec siebie wrogie. Rzeczona wrogość przybiera zbyt często wymiar barbarzyński, między innymi za sprawą upadku części elity opiniotwórczej – uniwersytetu, mediów, klasy politycznej. To ta „elita” nazywa jednego z kandydatów na prezydenta faszystą, brutalnie i gołosłownie odsądza go od czci i wiary (nie, żeby ów kandydat był

wzorem dobrych obyczajów, ale to nie usprawiedliwia większości ataków na niego), namawia do bezwzględnego potępienia, a najlepiej uwięzienia, tego polityka i biznesmena. Elita ta odpowiada za odmówienie mu właściwej ochrony, co ułatwiło zadanie niedawnemu zamachowcowi na jego życie. I odpowiada za wpisy na różnych forach internetowych, wyrażające żal, iż zamachowiec chybił (jeden z takich wpisów zyskał sobie aprobatę 3,2 miliona innych barbarzyńców).

Innym, ciekawym wyrazem zimnej wojny wewnątrzamerykańskiej jest sam fakt wyboru Donalda Trumpa na kandydata na prezydenta USA. To lud zmusił establishment republikański do takiej decyzji. Trump nie jest kandydatem tego establishmentu, który dawno temu stracił kontakt z narodem, ale który może chcieć ten kontakt znowu nawiązać.

Ameryka rozdarta wewnątrznie nie przetrwa długo. Jej odrodzenie – z Bożą pomocą na pewno możliwe – musi potrwać pokolenia, ale też powinno zacząć się jak najwcześniej. Wybór Donalda Trumpa będzie zachętą do podjęcia takiego wysiłku. Dlaczego?

Powtórzmy najpierw, że sygnalizowany tu społeczny rozpad Ameryki rozpoczął się w latach 1970-tych. W rękach polityków skupiona już była władza zbyt wielka, ale też ci politycy – taka była „od zawsze” ta ich władza – służyli różnym grupom interesów i nade wszystko światu finansów oraz wielkiego biznesu. Po prawdzie to ten świat ich wybierał, a przynajmniej namaszczał do stanięcia w szranki wyborcze na niwie politycznej. I świat ten miał już wtedy interesy globalne oraz nie obchodziło go dobro narodu amerykańskiego. Nie później niż na początku XXI wieku władza polityczna zaczęła służyć nowej grupie nacisku, tym razem (nie)moralnego, zrodzonego z tradycji progresywizmu, który szybko przyjął oblicze ultra-postępowej inżynierii społecznej. Z tej to tradycji wziął się Barack Obama i za swoją przyjęła ją Hillary Clinton. Do pewnego stopnia za swoją przyjął ją Joe Biden. Po części później, ale za to mocniej niż Biden, np. gdy mowa o tzw. prawach reprodukcyjnych, czyli o aborcji na życzenie, przyjęła ją Kamala Harris. Jak widać, za swoją uznaje dzisiaj tę tradycję Partia Demokratyczna jako całość.

Krótko i węzłowato, oraz bez owijania w bawełnę, jest to platforma antychrześcijańska, a zatem antyamerykańska, gdy na tę Amerykę patrzeć okiem osoby niezdeprawowanej oraz choć trochę znającej historię. Jest to również platforma z elementami socjalizmu, czyli proponowaniem najczęściej niewłaściwych lekarstw na prawdziwe bolączki (np. w sferze opieki zdrowotnej, czy uczynienia rzekomo bezpłatnymi studiów wyższych, wszystko to na koszt „obdarowywanego” podatnika). Jest to platforma, która chce utrudnić rozwój gospodarczy USA przez postawienie na Zielony Ład, a to znaczy różne kosztowne zakazy (np. wydobywania ropy i gazu łupkowego) i nakazy (np. przymusowe przejście na produkcję samochodów elektrycznych).

Jest to wreszcie platforma, której znakiem rozpoznawczym była zgoda na zalanie USA dziesiątkami milionów nielegalnych imigrantów. Partia Demokratyczna od wielu dekad

stawiała na głosy mniejszości narodowych, by w końcu stać się zakładnikiem tychże mniejszości, ale dopiero ekipa Bidena i Harris otworzyła granicę południową Stanów.

Przeciwko tej platformie staje po raz drugi Donald Trump i jego ruch MAGA (*Make America Great Again*, czyli uczynmy Amerykę na powrót wielką). Wiele jego planów z kadencji 2017 – 2021 zostało sparaliżowanych przez *deep state*. Jak będzie tym razem, jeżeli zostanie wybrany, nie wiadomo. Ma w planie rozprawę z owym państwem ukrytym. Taka rozprawa, a właściwie reforma całej administracji, została rozpisana z inicjatywy think tanku *Heritage Foundation* bardzo szczegółowo, z udziałem około 400 ekspertów z wielu ośrodków badawczych oraz innych organizacji uznawanych za konserwatywne (tytuł broszury opisującej reformę to *Project 2025*). Zapewne Trump będzie chciał z tych wskazówek skorzystać. Ale spotka się z oporem potężnym, na pewno samych organów rządowych, a zapewne i Kongresu.

Ma oczywiście w planie zamknięcie granicy południowej, wydalenie części imigrantów, inne sposoby ograniczenia imigracji, przyrzeka wzmocnienie gospodarki i wojska, odrzucenie tego wszystkiego co złe w Zielonym Ładzie, przyrzeka dobre dla Ameryki rozwiązanie kwestii geopolitycznych oraz stosunków handlowych z resztą świata. Są to plany mniej albo bardziej precyzyjnie sformułowane w jego agendzie, ale – jak zapowiedziałem – ich omówienie zostawiam ekspertom. Dodam jeszcze tylko, iż chce Trump wydać wojnę zepsuciu moralnemu promowanemu przez nominatów Partii Demokratycznej oraz elity ultra postępowe. Ma konkretny plan utrudnienia uczelniom zdobywania pieniędzy na programy promujące wspomniane zepsucie. Planuje również stworzyć Akademię Amerykańską – instytucję kształcącą za darmo i (głównie) on-line, na najwyższym poziomie, w zakresie nauk humanistycznych, ścisłych, przyrodniczych oraz technicznych. Chce, by Akademia dawała absolwentom stopień licencjata. Źródłem utrzymania Akademii miałyby być darowizny obecnie wspierające ultra postępowe nowinki na uczelniach.

Donald Trump dokonał doskonałego wyboru swojego wiceprezydenta. Podejrzewam, że istotny udział w tym wyborze miał Peter Thiel, ważny biznesmen z Doliny Krzemowej, który był dość bliskim doradcą Trumpa przed jego wyborem na prezydenta w roku 2016. J.D. Vance, bo o nim tu oczywiście mowa, był dyrektorem w jednej z firm Thiela w latach 2016 – 2017. Ale niezależnie od rzeczonego podejrzenia, wiemy dobrze, że Trump ma swoich zwolenników wśród najważniejszych biznesmenów łączących na tzw. wysokie technologie, a te znaczą wiele dla gospodarki USA. Natomiast sam Vance – w przeciwieństwie do Trumpa – jest bez wątpienia najbardziej naturalnym rzecznikiem tej części populacji, która najbardziej ucierpiała na deindustrializacji państwa. Z tej populacji pochodzi, zna jej przywary, wie, jak trudno jest wyrwać się z okowów moralnego upadku, który widział dookoła siebie, ale też wie, że jest to możliwe. Jest populistą z krwi i kości, ale mądrym. Może istotnie i trafnie wzbogacić programy, jakie wypracuje ekipa Trumpa na rzecz poprawy losu niższych warstw społeczeństwa. Jednocześnie należy pamiętać, iż władza wykonawcza spoczywa wyłącznie w rękach prezydenta i wiceprezydent może go tylko wspierać. Przed Vance'em otwiera się szansa na zostanie prezydentem w roku 2029.

J.D. Vance patrzy trzeźwym okiem na Unię Europejską. Miło mu było przyjąć wyznanie Olafa Scholza, że ten miał łzy w oczach, gdy czytał Vance'a książkę-wyznanie z roku 2016 (*Hillbilly Elegy. A Memoir of a Family and Culture in Crisis*, czyli „Elegia dla ciemnogrodu. Pamiętnik rodziny i kultury w kryzysie”), ale podczas konferencji bezpieczeństwa w Monachium w lutym tego roku nie omieszkiał skrytykować Unii za jej imperializm z tego imperializmu ostrzem skierowanym przeciwko Polsce i Węgrom. Jak powiedział, imperializmem było prześladowanie w imię rzekomej demokracji tych państw, które wybierały inną politykę niż Bruksela i Berlin zalecają. Na tej samej konferencji wytknął także Unii jej niekonsekwencję w stosunkach z Rosją oraz brak wizji, jak zakończyć wojnę na Ukrainie. Powiedział, że nie pojmuje stałego straszenia Zachodu Rosją i jednocześnie lata trwającej odmowy własnego zbrojenia się. Ostrzegł, że USA nie będą w nieskończoność łożyć na obronę państw UE. Vance podkreśla razem z Trumpem, że USA muszą zacząć działać we własnym i tylko własnym interesie, jakkolwiek ten implikuje również współpracę z państwami innymi.

Na koniec powtórzę, że opór państwa ukrytego oraz elit postępowych wobec polityki oraz reform Donalda Trumpa będzie ogromny, być może decydujący. Może też sam Trump wybierać rozwiązania niedobre dla swojej ojczyzny, ale najważniejsze dla USA jest, by zatrzymać niszczenie tkanki społecznej przez władzę obecną. Oraz, żeby rozpocząć dzieło jej odbudowy. A ta odbudowa, jak napisałem, będzie wymagała wysiłku pokoleń, ponieważ nie o kwestie polityczne tu tylko chodzi, lecz nade wszystko o odnowę kultury.

Oby Ameryka i Europa doczekały tych wyborów w pokoju, i oby Donald Trump te wybory wygrał. Mojej Ojczyźnie życzę, by nie zwlekając i nie czekając na wynik wyborów w USA szykowała się do wojny – *si vis pacem, para bellum*.<sup>2</sup>

26 lipca 2024

---

<sup>2</sup> Wiele wątków tu poruszonych omawiałem szerzej w mojej książce „Między obłędem a trwaniem”, której plik pdf można ściągnąć z mojej strony internetowej, <https://home.ipipan.waw.pl/j.koronacki>, oraz w późniejszych artykułach, np. w miesięczniku „WPIS” nr 138 (4/2022), w artykule „Ameryka – zmęczone imperium” (te rozporoszone publikacje można ściągnąć z wymienionej strony – są w zakładce hobby).